NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 27 maja 1922. Nr. 21.

Życie za chwilę zapomnienia...



Gaston Harvesi rozpoznaje mieszkanie, w którem się spotkał z tajemniczą nieznajomą.

TREŚĆ NUMERU: W dziesiątą rocznicę zgonu. — Budowa II. Domu Techników we Lwowie. — Jubileusz zasłużonego pedagoga. — Poświęcenie „Wytwórni Witraży i Zakładu Oszkleń" w Krakowie. — Zapaśnictwo jako sport. — Katastrofa lotnicza pod Rzeszowem. — Z teatrów. — Życie za chwilę zapomnienia.

W dziesiątą rocznicę zgonu.

Dziesięć lat mija w dniu 27. maja b. r. od chwili zgonu założyciela, wydawcy i pierwszego naczelnego redaktora „Nowości Illustrowanych", śp. Stanisława Rawicz Lipińskiego. W pełni męskiego wieku zeszedł z tego świata przedwcześnie, pozostawiając po sobie ogólny żal u tych wszystkich, którzy stykali się z nim bliżej, widzieli i umieli ocenić Jego chęć służenia ogólnej sprawie.

W polskim ruchu wydawniczym zajął ś. p. Stanisław Lipiński bardzo poważne miejsce, ale to dzięki trafnie i na czasie powziętemu pomysłowi wydawania aktualnej a popularnej illustracyi polskiej, która mogłaby wyrugować cieszące się ogromną popularnością, zwłaszcza w byłym zaborze austryackim, tygodniki niemieckie, wyciągające z kraju pieniądze, a w zamian zatruwające polskiego ducha. Że inicyatywa śp. Lipińskiego miała racyę bytu, świadczy o tem wzrastająca z roku na rok popularność „*Nowości Illustrowanych*", które, po przezwyciężeniu całego szeregu trudności, w dziewiętnastym roku swego istnienia, prowadzone stale w duchu przez Założyciela wytkniętym, są dziś najpopularniejszem polskiem aktualnem wydawnictwem obrazkowem, znanem dobrze na całym obszarze ziem polskich i daleko poza ich granicami. Pismo bezpartyjne, służące ogółowi i zapoznające go z najważniejszymi wypadkami bieżącej chwili, stało się z czasem dla każdego Polaka lekturą nadzwyczaj pożądaną i zjednało sobie zasłużone uznanie tak w byłych trzech zaborach, jak również i za oceanem, gdzie jest także bardzo mile widzianym gościem w każdym polskim domu.

Powołując do życia „Nowości Illustrowane" i nadając im odpowiedni kierunek, zyskał sobie śp. Stanisław Lipiński prawo do uznania i wdzięczności ogółu, któremu poświęcił całą swą wiedzę i siły, do ostatnich niemal dni swego życia troszcząc się o pismo aby stale prowadzone było w wytkniętym przezeń kierunku.

Dziś, gdy dziesięć lat dzieli nas od zgonu naszego założyciela i pierwszego redaktora, stwierdzić musimy, że żądanie Jego spełniliśmy sumiennie, a w ciężkiej pracy przy zwalczaniu napotykanych ciągle trudności, zwłaszcza zaś w czasie wojennym, siły i otuchy dodawało nam wspomnienie hartu Jego ducha, z jakim przystępował lat temu blisko dwadzieścia do wprowadzenia w czyn bardzo ryzykownego, jak się wówczas wydawało przedsięwzięcia, z jakim potrafił swe dzieło doprowadzić do zamierzonego celu. Przedwczesny Jego zgon, spowodowany nurtującą organizm ciężką słabością, osierocił Rodzinę, pozbawiając ją najlepszego Męża i Ojca, głęboko też i żałośnie zapisał się w sercach współpracowników, którzy dzieło przezeń podjęte prowadzą dalej na pożytek polskiego społeczeństwa.

Z drobnych początków rozrosły się „*Nowości Illustrowane*" w organ naprawdę poważny i popularny, stanowiąc niejako pomnik wdzięcznej pamięci ogółu dla ich Założyciela, pod który sam złożył podwaliny.

Celem uczczenia pamięci śp. Stanisława Rawicz Lipińskiego odbędzie się w dniu 27 maja b. r., jako w dziesiątą rocznicę Jego śmierci msza św. w kościele O. O. Kapucynów o godzinie $8^1/_2$ rano. Z tego samego powodu ufundowała Rodzina cegiełkę wawelską i złożyła dziesięć tysięcy marek na odbudowę Szpitala Braci Miłosierdzia w Krakowie.



W dziesiątą rocznicę zgonu: Ś. p. Stanisław Rawicz Lipiński, założyciel wydawca i pierwszy naczelny redaktor „Nowości Illustrowanych" zmarły 27 maja 1912 roku.

Budowa II. Domu Techników we Lwowie.

Budowa drugiego Domu Techników wywołała w całym Lwowie niezwykle silne zainteresowanie i gorącą sympatyę społeczeństwa dla tego naprawdę pięknego dzieła.

Najlepszym wyrazem gorącego oddźwięku, który wśród mieszkańców Lwowa wywołała inicyatywa techników, był tłumny udział publiczności w „święcie łopaty" przy założeniu fundamentów w dniu 14 maja br.

Wewnątrz czworobocznego kordonu znaleźli się przedstawiciele Politechniki, Uniwersytetu, Województwa, władz municypalnych, wojskowości i t. d. Z tyłu stanęła kompania honorowa 26 p. p. przybrana w hełmy.

Z uderzeniem godziny 11 wmaszerowali na miejsce uroczystości technicy z kompanią robotniczą, odzianą w robotnicze bluzy obok czapek akademickich, na czele. Weszli przy dźwiękach muzyki 19 p. p.

Przy skromnym ołtarzyku odprawił mszę cichą w zastępstwie nieobecnego we Lwowie ks. Arcybiskupa Bilczewskiego, ks. Czajkowski. W czasie nabożeństwa śpiewał chór techników i grała orkiestra wojskowa. Po odprawionem nabożeństwie wstąpił ks. Czajkowski na trybunę i w pięknych, podniosłych słowach określił znaczenie rozpoczętego dziś dzieła. Trzy wielkie idee realizuje młodzież techniczna w tej ważnej pracy: ideę samopomocy, ideę poszanowania wszelkiej pracy umysłowej i fizycznej, których skojarzenie jest tak zbawiennem lekarstwem dla dzisiejszych czasów z ich hasłami przewrotowemi, a wreszcie ideę zgody. Jak w czasie niebezpieczeństwa Ojczyzny wytrzymała młodzież technicka grad kul, tak dzisiaj musi nastawić czoło na stokroć uciążliwszy grad przeciwieństw i trudności. Nie ugnie się jednak z pewnością, jak nie ugięła się dawniej, a Lwów, zawsze wierny i zawsze wdzięczny, niechaj dopomoże dziełu, które jest utrwaleniem polskości miasta, byśmy w niedługim czasie święcili na tem miejscu drugą uroczystość, uroczystość poświęcenia gotowego już domu.

Następnie przemówił prezydent Neuman, stawiając rozpoczęte dzieło za przykład, jak należy silną, niezłomną wolą zmieniać w czyn zamiary przy pomocy własnej pracy.

Z kolei przemawiali: technik Płochocki i rektor Politechniki dr. Huber.

Po przemówieniach, tłum gości skierował się ku miejscu, gdzie miano w bić w ziemię pierwszą łopatę. Z błogosławieństwem na ustach ujął najpierw łopatę ks. Czajkowski, następnie rektor Huber, wojewoda Grabowski, jenerałowie Jędrzejowski i Haller, rektor Kasprowicz, prezydent Neuman, redaktor Laskownicki, pos. Świński, profesorowie politechniki i długi szereg gości.

Na tem zamknęła się podniosła uroczystość. Szeregi technickie, uformowały się następnie w pochód, który przeszedł ulicami miasta, by rozpoczętem dziełem zainteresować także tych, którzy z jakichkolwiek powodów nie wzięli w święcie udziału.

I mają technicy prawo do zainteresowania i pomocy społeczeństwa. Budowa drugiego domu jest bowiem nie tylko aktem pewnej potrzeby młodzieży, lecz także przepięknym symbolem Polski rosnącej: łamać trudności nie ślamazarnem opuszczaniem rąk i bezpłciowem wyrzekaniem na wszystkich i wszystko, lecz twardym pozytywnym wysiłkiem otwartych głów, gorących serc i krzepkich, stalowych muskułów, które — mimo czapeczki akademickiej — nie ulękną się taczek, łopaty i kielni.



Budowa II. Domu Techników we Lwowie: Msza św. polowa, odprawiona przez ks. Czajkowskiego, na miejscu rozpoczęcia budowy.

Jubileusz zasłużonego pedagoga.

W dniu 6. maja br. odbyła się w Krzeszowicach rzadka, a bardzo piękna uroczystość, mająca na celu uczczenie czterdziestoletniej służby nauczycielskiej kierownika szkoły powszechnej siedmioklasowej męskiej, Stanisława Polaczka. Inicyatywa wyszła z łona Rady Gminnej i gron nauczycielskich. Jubileusz rozpoczął się solennem nabożeństwem w kościele parafialnym, które odprawił proboszcz ks. Wiktor Klimek, prezes Komitetu.

Nawę kościoła wypełniła młodzież szkół powszechnych: męskiej i żeńskiej, uczniowie szkoły przemysłowej uzupełniającej, pełnomocnicy dóbr hr. Potockich z hrabiną Andrzejową Potocką na czele, delegaci towarzystw oświatowych i stowarzyszeń przemysłowych, reprezentanci gmin okolicznych i gminy Rudawy, nauczycielstwo powiatu chrzanowskiego, rodzina jubilata i liczna publiczność. Na chórze śpiewała młodzież szkolna i kwartet męski, złożony z synów jubilata.

Po nabożeństwie wprowadzono jubilata do pięknie przystrojonej sali gminnej; tu powitano go kantatą, poczem nastąpiły przemówienia: prezesa Komitetu ks. W. Klimka, naczelnika gminy Franciszka Kulczyckiego, który wręczył jubilatowi dyplom (na pergaminie), pierwszego obywatelstwa honorowego Krzeszowic, inspektora szkolnego Stanisława Krzanowskiego, który wręczył jubilatowi dekret Min. W. R. i O. P., nadający mu tytuł dyrektora, zastępcy przełożonego Stowarzyszenia Przemysłowego Zjednoczonych Rękodzielników, Jana Orczykowskiego, uczestnicy szkoły żeńskiej Ireny Dudzianki, ucznia szkoły męskiej Stanisława Dębskiego, ucznia szkoły przemysłowej uzupełniającej męskiej Władysława Saroty, delegatów nauczycielstwa: Malickiego, Szurmiaka i Sieprawskiego, dra Józefa Henocha, prezesa Tow. Kasynowego, Eugeniusza Bogdanowicza, delegata Ekspozytury Biura Patronatu Spółek Rolniczych i dyr. Tow. Zaliczkowego Fr. Olasa, poczem odczytano telegramy i pisma gratulacyjne z Krakowa, Lwowa, Warszawy, Łodzi, Alwernii, Chrzanowa itd.

Po odpowiedzi i podziękowaniu rozrzewnionego jubilata młodzież odśpiewała prześlicznie „Wiosnę“ pod kierunkiem Dyrektorki M. Hackmüllerówny i nauczyciela W. Golańskiego.

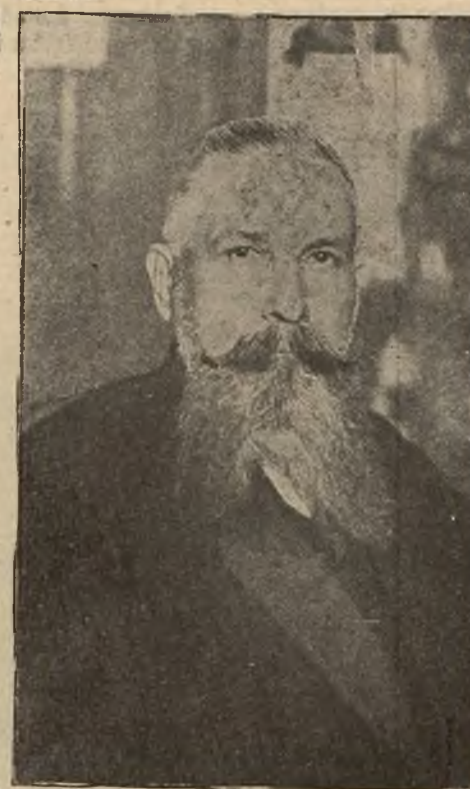
Po „Poranku“ Rada Gminna przyjęła uczestników śniadaniem w lokalu „Powszechnego Kasyna“. Role gościnnych gospodyń i gospodarzy spoczęły w rękach pań nauczycielek i nauczycieli miejscowych szkół powszechnych.

Cała ta uroczystość o pogodnym a podniosłym nastroju uczyniła na uczestnikach silne wrażenie i pozostanie dla wszystkich miłem a niezatartem wspomnieniem.

Uczestnik.



Budowa II. Domu Techników we Lwowie: Wykopywanie pierwszych łopat. Jenerał Jędrzejowski pośród zajętej pracą młodzieży technickiej.



Jubileusz zasłużonego pedagoga: Stanisław Polaczek, dyrektor Szkoły powszechnej siedmio-klasowej męskiej w Krzeszowicach pod Krakowem.

Poświęcenie „Wytwórni Witraży i Zakładu Oszkleń“ w Krakowie.

W dniu 21 maja b. r. odbył się w Krakowie uroczysty akt poświęcenia nowozałożonej „Wytwórni Witraży i Zakładu Oszkleń“, jednej więcej placówki naszego przemysłu, powołanej do życia dzięki inicyatywie i poparciu „Zakładów Przemysłowych B. T. H. *Industria* Ska z ogr. odp.“

W uroczystym akcie poświęcenia, dokonanym przez ks. dra Tobiasiewicza, wzięli udział przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych, instytucyi finansowych i przemysłowych, prasy oraz sfer, którym rozwój naszego przemysłu leży na sercu. Wygłoszono szereg przemówień, tętniących szcze-



Jubileusz zasłużonego pedagoga: Uczestnicy uroczystości jubileuszu dyr. S. Polaczka w Krzeszowicach wraz z Jubilatem w pośrodku.

rem uznaniem dla inicyatorów nowego przedsiębiorstwa, przedewszystkiem zaś dla niestrudzonego naczelnego dyrektora „Industrii", inż. Juliana Treutlera, na cześć którego pracownicy Wytwórni urządzili piękną a serdeczną manifestacyę, świadczącą chlubnie o duchu, panującym w owem przedsiębiorstwie.



Budowa II. Domu Techników we Lwowie Pochód techników na miejsce budowy w dniu uroczystego jej rozpoczęcia.

Zakłady Przemysłowe B. T. H. „Industria" Ska z org. odp. powstały w r. 1919. — Założycielami tej firmy byli inżynierowie K. Kłębkowski i J. Treutler oraz dr. W. Medwedeczky i Jan Szuro. —

Początkowy kapitał wynosił 40.000. — K., dziś wzrósł do 5,000.000. — Mkp. — Na czele Zarządu od samego powstania stoi inż. Julian Treutler i dzisiaj jest on naczelnym dyrektorem. Prezesem Rady Nadzorczej jest marszałek Jan Jędrzejowicz ze Staromieścia, znany działacz na polu przemysłowem w Małopolsce, zastępcą prezesa jest prof. Akad. Handl. Dr. Tomasz Lulek doskonały ekonomista, znawca stosunków handlowych i specyalista księgowości. — Przewodnią ideą firmy było stworzenie zakładów przemysłowych, a środkami do osiągnięcia tego celu dział handlowy, dział inżynierski i pośrednictwo. — Już w r. 1919 przy wydatnej pomocy „Industrii" powstaje kilka zakładów przemysłowych, które dzisiaj wyrosły na poważne instytucye. — W. r. 1920 nabyto Wytwórnię luster i szlifiernię szkła przy ul. Al. Mickiewicza 23, która po częściowej rekonstrukcyi pracuje obecnie w całej pełni. — Z powodu wojny bolszewickiej i ciągłego obniżenia się waluty praca organizacyjna i twórcza była nader utrudniona. — Firma walczyć musiała z wielkim kryzysem w przemyśle w. r. 1921. który to kryzys był próbą ogniową dla wielu firm.

„Industria" z kryzysu tego wyszła zwycięzko, a nawet silnie wzmocniona. — W lutym 1922 r. rozpoczęto prace organizacyjne do stworzenia „Wytwórni Witraży i Zakładu Oszkleń" o kapitale zakładowym 10,000.000. — Mkp. i już w dniu 7 kwietnia rozpoczęto produkcyę witraży we własnym budynku, specyalnie na ten cel urządzonym przy ul. Rzeźniczej 112. Smiało twierdzić można, że stało się to w wielkim stylu, po amerykańsku, tembardziej, że w tym samym czasie wiele zakładów przemysłowych przedwojennych zmuszonych było do likwidacyi swych czynności. —

„Wytwórnia Witraży i Zakładu Oszkleń" zatrudniać może przeszło 30 pracowników kwalifikowanych i kilkanaście osób personalu pomocniczego. Urządzono wszystko wedle wymagań techniki i hygieny. Kierownictwo fachowe spoczywa w rękach artysty malarza S. W. Matejki i F. Konkiewicza, wypróbowanych przemysłowców z tego działu. Daje ono zupełną gwarancyę, że wykonane roboty będą bezkonkurencyjne. Wykonane dotąd witraże: Paź, Królowa, Serce P. Jezusa, Matka Boska i kilka wzorów oszkleń geometrycznych, dają świadectwo doskonałej fachowości tak projektodawcy p. Matejki, jak i pracowników wykonawców, którzy posiadać muszą dużo inteligencyi i artyzmu. Obecnie pracuje Wytwórnia nad witrażem św. Jana Kantego, zamówionym dla kaplicy w Kętach przez ofiarodawców znanych prze-



Zapaśnictwo jako sport: Stach Spyra-Płonkowski, słuchacz med. U. J., rokujący piękne nadzieje, krakowski amator-atleta.



Poświęcenie „Wytwórni Witrażów i Zakładu Oszkleń" w Krakowie: Uczestnicy uroczystego aktu poświęcenia w dniu 21 maja b. r.

RENE BURES.

Zil=X...

27) Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Następny dzień przyniósł nam niestety tylko rozczarowanie. Wszyscy nasi ajenci spędzili noc całą na sprawdzaniu korespondencyi umieszczonych w „Burzy" i innych dziennikach. Nie znaleziono nic jednak, pomimo gorliwości i dokładności poszukiwań poczynionych.

Mieliśmy się zejść z Igginsem o godzinie piątej i dowiedzieć się o rezultacie jego ankiety w redakcyi „Burzy". W południe, kiedyśmy jedli dosyć melancholijnie śniadanie, w towarzystwie nie bardzo wesołem starego Dambleuse'a — wszedł nasz ajent numer 8.

— I cóż? — zapytał gorączkowo Dalton.

— Nic — odparł lakonicznie ajent — na którym było znać w zachowaniu dobrą szkołę Igginsa.

— Dziękuję — szepnął z niezadowoleniem Dalton.

Numer 8 wyszedł tak jak przyszedł, cicho, niepostrzeżenie — bez słowa!

Wszystko się psuje — wyrzekł Dalton po jego wyjściu. Chodźmy.

Popołudnie wlokło się nieznośnie. Dwanaście tylko godzin dzieliło nas od tego „pojutrza" tak oczekiwanego. O godzinie piątej, bez najmniejszego spóźnienia — do kawiarni, gdzieśmy siedzieli — wszedł powolnym, nerwowym krokiem, Iggins.

— Tak, moi chłopcy — wyrzekł ściskając w swoich olbrzymich dłoniach nasze ręce. — Niema nic! Jakiś, podobno strzelec z kawiarni, czy też garson oddał ten anons. Nikt w administracyi nie przypomina sobie jak wyglądał i czy miał znak jaki firmowy u galona czapki.

Zapadliśmy w milczenie, zdegustowani, rozczarowani, nie widząc już naprawdę żadnego wyjścia przed sobą.

Minuty upływały. Iggins siedział niewzruszony jak głaz, paląc fajkę. Dalton bębnił palcami po stole. Dambleuse siedział zamyślony.

Zaczynałem się także nudzić.

W tej chwili dobiegł nas rumot krzeseł odsuwanych za nami, przy pobliskim stoliku, ale nie odwróciliśmy nawet głowy, aby ujrzeć nowoprzybywających.

Nagle dobiegły mnie dosyć głośno wymówione słowa:

— A więc to zdecydowane?

— Tak — „zostanie prawdopodobnie odrzucona. Pojutrze".

Dalton zadrżał i lekki okrzyk zdumienia wybiegł z jego ust.

Jakgdyby prądem elektrycznym dotknięci, odwróciliśmy się z Daltonem.

Iggins zagwizdał przeciągle.

— Za wiele nerwów! Za wiele nerwów — wycedził przez zęby.

Dambleuse siedział nieporuszony, jakgdyby nie zauważył niczego.

Człowiek, który usiadł przy stoliku podniósł głowę i poznaliśmy w nim starego naszego znajomego, ajenta Markasa, któregośmy stracili z oczu już od paru tygodni, i który zapewnie musiał być teraz zajęty innemi sprawami.

— Wydaje mi się pan być bardzo zdenerwowanym, panie Dalton — odezwał się Markas przyglądając się z uwagą mojemu przyjacielowi.

— Ja? wcale nie! Zdaje się wam tylko, Markasie — odparł Dalton, który się już otrząsnął z wrażenia. — Zdziwiłem się tylko ujrzawszy was.

— Był pan tak zdziwionym, że wydał pan nawet okrzyk, nie wiedząc, że to ja — zaśmiał się przebiegle stary ajent.

— Co chcecie powiedzieć, Markasie?

— Nic. Mówię tylko o tem, co widziałem. Ale zdaje mi się, że nie należał on do dotychczasowych pana znajomych?

— Kto taki?

— Soldache.

— Soldache?

— Tak, morderca tej rentierki z ulicy Krętej, ten, na którego zapadł już wyrok śmierci.

— Czy to pewne? — zapytał niedbale Iggins.

— Pewne.

— Kiedy wyrok wykonanym zostanie?

— Miał być wykonanym jutro, ale został odłożonym na pojutrze.

— Będziecie tam?

— Oh! nie! Mam co innego do roboty. Przyszedłem tylko udzielić tej wiadomości siostrzeńcom ofiary. Mówiąc to Markas, wskazał ręką na dwóch ludzi siedzących przy nim, przy stoliku, którzy się ukłonili bardzo grzecznie.

— Ale pan, panie Iggins — ciągnął dalej ajent, czy pan ma zamiar przypatrzeć się egzekucyi?

— Za wiele już widziałem widowisk podobnych — odparł zimno Iggins. Dosyć tego dla mnie, ale mój przyjaciel Vallorbe chętnie by się temu przyjrzał — nieprawdaż?

— Przytaknąłem ruchem głowy, nie rozumiejąc do czego Iggins zmierza.

— Oh! jeżeli tylko o to chodzi — rzekł Markas, to rzecz będzie łatwa. Pan może mieć jeszcze dziś wieczór kartę wstępu, która pozwoli panu przypatrzeć się egzekucyi, z pierwszych rzędów.

— Bardzo dobrze — mruknął Iggins — powstając.

Pożegnaliśmy się z Markasem i skierowali ku wyjściu.

— Niech pan czuwa nad swojemi nerwami, panie Dalton — rzucił jeszcze za nami ajent.

— Nudzi mnie, to bydlę — syknął z niecierpliwieniem Dalton. Do czego się on miesza?

— Za wiele nerwów — za wiele nerwów, mój chłopcze, on ma słuszność — odezwał się Iggins. — Posiadamy wiadomość, która warta jest wiele złota. Ale tu, na bulwarze mówić trudno. Wsiądźmy do auta. Tak! tak! Do lasku bulońskiego — zwrócił się do szofera, na którego skinął ręką. — Na godziny... Co? nie podoba ci się to? Mało mnie to obchodzi. No — czy chcesz jechać zaraz, inaczej ci wszystkie zęby wybiję, ty kanalio! A widzisz, kochanku, uspokoiłeś się... Siadajmy. A teraz, powiedzcie mi moi drodzy, co myślicie o słowach naszego Markasa?

— — — — — — — — — — — — — — — —

Przyznaję, że pierwsza chwila zastanowienia, oziębiła bardzo moje podniecenie. Bo cóż to właściwie było? Zwykły, przypadkowy zbieg słów, które rozgorączkowane nasze wyobraźnie pochwyciły za ślad już pewny, który mógł nas zaprowadzić na bardzo mylną drogę. Nie mówiąc już nic o niepotrzebnej stracie czasu. Zapewnie, przypadek ten był dosyć dziwnym i nie mogliśmy zaprzeczyć, że zadziwił nas wszystkich nie mało. Anons dziennika oznajmiał: „prawdopodobnie odrzucona. Pojutrze". A Markas wyrzekł przed chwilą z całą pewnością te same słowa. Powtarzałem je ciągle, aby je zapamiętać i nie przekręcić: „prawdopodobnie będzie odrzucona. Pojutrze". A więc to miało znaczyć, że prośba podana przez tego Soldache'a, o którego istnieniu nie wiedziałem jeszcze przed chwilą, została odrzucona i że wyrok zostanie wykonany na nim, pojutrze. Czy naprawdę, nie był to tylko zbieg okoliczności.

— To jest prawdziwy ślad — wyrzekł Dalton, jakgdyby zaprzeczając moim myślom.

— Czy wierzysz w to?

— Tak.

— Być może — odezwał się Iggins. — A pan, panie Dambleuse, co pan o tem sądzi?

— Nie wierzę w taki zbieg okoliczności — odpowiedział zimno stary — jednakże...

— Zdaje mi się jednak, Iggins — odezwałem się, że postanowiliśmy jaknajmniej się pokazywać w dniu, wyznaczonym przez anons, a przyjęliście dla mnie zaproszenie asystowania egzekucyi?

— Nie można było odrzucić tej sposobności dowiedzenia się czegoś — oświadczył Iggins. — Zresztą obecność twoja tam Vallorbe, będzie bardzo wytłómaczalna. Ludzie ciekawi są podobnych rzeczy. Nikogo to nie zadziwi.

— Co tam będę musiał robić?

— Patrzeć, tylko patrzeć dobrze.

— A potem.

— Postąpić według tego, jak okoliczności się złożą. Nasi ludzie także tam będą i czuwać będziemy nad tobą mój chłopcze. W razie potrzeby, mieć będziesz pomoc pod ręką. Pomiędzy nami a tobą, będzie niewidzialny łańcuch, który nas wszystkich w danym momencie połączy.

— Ale — zauważył Dalton — w anonsie było „pojutrze" to jest jutro już. A Markas powiedział nam, że egzekucya odłożona została do pojutrza, to jest o trzy dni później niż wskazuje data anonsu.

— To samo jest już doskonałym dowodem o wartości tego cośmy usłyszeli.

— Tak — odrzekł Iggins — i będzie również doskonałym dowodem wartości tego nowego śladu, jeżeli się stanie to, co przypuszczam.

— Co takiego?

— Okazanie się nowego anonsu.

— To jest możliwe — rzekł Dalton.

— Ponieważ dzień schadzki jest zmienionym, ten, który podał pierwszą wskazówkę — podać powinien teraz drugą. Jestem teraz pewnym, że tak się stanie.

— Niema więc chwili do stracenia — wyrzekł żywo Dalton. Idźmy uprzedzić „Burzę". Tym razem musimy się dowiedzieć, kto jest ten, który zajmuje się odnoszeniem do administracyi anonsów M. S. 27.002 Poznawszy posłańca, poznamy może również tajemniczego M. S. 27.002.

— Może choć przynajmniej dowiemy się coś o nim — wtrąciłem.

— Ale co panowie myślicie o tem wszystkiem? — zapytał nagle stary Dambleuse. Co ma egzekucya tego mordercy z ulicy Krętej, tego Voldache'a czy Soldache'a, niech go dyabli porwą, nie zapamiętałem jego nazwiska, do konieczności uniewinnienia Jerzego Dambleuse. Tego absolutnie nie rozumię!

— Gdybyśmy wiedzieli, nie czynilibyśmy dalszych poszukiwań, odburknął niegrzecznie Iggins. Straciliśmy ślad właściwy. Teraz wpada nam w ręce inny, problematyczny bardzo, ale który zgadza się doskonale z rebusem zapisanym przez kapitana de Limandoux. Odnalezienie tego rebusu, do niczego nas dotąd nie doprowadziło, mieliśmy ten ślad już porzucić. Ale nadchodzi ten dziwny zbieg okoliczności... doskonały na honor, który temu śladowi znowu pewną wartość nadaje. Oczywiście, idziemy za nim nie rozumiejąc nic jeszcze.

— Dobrze. Zwrócę tylko panom uwagę, że jest to może zbieg słów bez treści i znaczenia. Wyobraźcie sobie, że śledztwo wasze oparte jest na słowie „papuga". Czy dlatego śledzić będzie tych wszystkich, którzy mają lub sprzedają papugi?

— Zgadzam się z tem, że jest to tylko zbieg tych samych słów przypadkowy. Ale gra w nim pewną ważną rolę, dokładność określonego czasu, to jest daty i dodatek „prawdopodobnie odrzucona". Zresztą nie mamy wyboru — czy tak?

— Zapewnie — mruknął stary Dambleuse.

— W końcu, bardzo to możliwe — ciągnął już niecierpliwiej Iggins — że tracimy czas na próżno. Ale tym sposobem, zyskamy chociaż jedno.

— Ciekawy jestem co?

— Rozciągniemy czujność nad tymi wszystkimi, którzy biorąc większy lub mniejszy udział w tych dramatach, mogą znaleźć się w niebezpiecznej sytuacyi dziś czy też jutro.

— Zdaje mi się jednak, że możnaby wywiedzieć się coś o przeszłości tego człowieka, tego mordercy Soldache'a, którego egzekucya ma się odbyć jutro — rzekł Dalton.

— Czy on był już w więzieniu, podczas dokonania tych wszystkich zbrodni — zapytałem.

— Zapewnie. Ale jednak, zdaje mi się, że z tej strony możnaby się czegoś dowiedzieć.

— Jest to także moje zdanie — odezwał się Iggins. Zajmę się tem sam. Dobranoc, do jutra, o ile jeszcze prędzej coś nowego nie zajdzie. Ty, Dalton idź do „Burzy".

— Dobranoc!

Iggins szybko wyskoczył z automobilu i znikł w tłumie, Dambleuse korzystając z zatrzymania się maszyny pożegnał nas również. Widocznem było, że nie wierzył już w udanie się naszej sprawy. Co do mnie przyznaję, że byłem zniechęcony, pomimo dobrego oddziaływania Igginsa na nas wszystkich.

Dalton musiał być w tym samym nastroju, bo milczał jak zaklęty, gwizdał tylko w sposób, który mnie do reszty rozstrajał.

Przyjechaliśmy do „Burzy" o godzinie szóstej. Dziennik już wyszedł i mogliśmy się natychmiast przekonać, że żaden nowy anons nie pojawił się na szpaltach. Nie powinno to nas było zadziwić. Tajemniczy korespondent nie był może jeszcze uprzedzony, lub też czekał do ostatniej chwili aby wyznaczyć dzień schadzki.

A jednak! Skoro ten, do którego pisano nie był uprzedzony, to mógł się stawić na dzień oznaczony w pierwszym anonsie.

— Bah! mruknął Dalton. Przypuszczam prędzej, że M. S. 27.002, pomyślał sobie, że ten do którego pisze, czyta przecież dzienniki i sam się o odłożeniu tego dnia dowie. Jeżeli tak jest to przekonasz się, że się Iggins myli i że nie będzie drugiego anonsu.

Kiedy właśnie skończył te słowa — znajdowaliśmy się w hallu „Burzy“ — przyszedł chłopiec, oznajmiając nam, że wydawca prosi nas do siebie. Z nim to samym mówił dnia poprzedniego Iggins. Kiedy weszliśmy, podał nam z uprzejmym uśmiechem kartkę, którą trzymał w ręce.

Wypisane na niej były wielkiemi, grubemi literami prawdopodobnie zapomocą zapałki umaczanej w atramencie, te słowa:

„M. S. 27.002. Wiem o zmianie dnia. Nie pisać“.

I znowu mieliśmy przed sobą zagadkę. Jeszcze raz musieliśmy się uznać za pobitych nadzwyczajną ostrożnością tych, których poszukiwaliśmy. Ale równocześnie mieliśmy potwierdzenie jawne, że podejrzenia nasze są słuszne. Teraz już nie mogło być wątpliwości, że pierwszy anons, umieszczony w „Burzy“, miał na celu ostrzeżenie kogoś, że dzień wykonania wyroku został odłożony. A więc zdanie wyrzeczone tak niespodziewanie przez starego Markasa, naprawdę naprowadziło nas na trop tych, których poszukiwaliśmy tak długo. Ale równocześnie z odebraniem tego przeświadczenia, oddaliła się nadzieja pochwycenia jakich wiadomości o tajemniczym korespondencie. Kto był ten człowiek tak cudownie przebiegły, ukrywający się pod tym pseudonimem, pod tą zagadkową cyfrą. Mogło to być również dobrze zorganizowane stowarzyszenie rzezimieszków lub zbrodniarzy, działających bezkarnie w ukryciu nigdy nie wyśledzonem!?

Rzeczywiście przebiegłość i zręczność tych ludzi była zadziwiająca! Posunęli oni ostrożność do tego stopnia, że posłużyli się w odpowiedzi temi samemi literami M. S. 27.002! Skoro więc M. S. 27.002 ostrzegał i odpowiadał równocześnie pod tymi znakami, więc najwidoczniej ten sam pseudonim służył obydwu grupom, porozumiewającym się ze sobą. Można było teraz napewno twierdzić, że M. S. 27.002 przedstawiał cyfrę tego, który uprzedzał — ten zaś, który odpowiadał, użył jej również, aby się nie zdemaskować.

A więc czy dalej wnioskować nie było można, że ten, do którego się zwracano, ten, który odpowiadał, był Zilem samym, ten X-Zil, którego szukaliśmy, którego znał kapitan de Limandoux i imię jego, wyrył na kopercie zegarka obok cyfry M. S. 27 002: = X=Zil M. S.=27.002.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

16

— Cierpliwości — odrzekł majster Gandolf — jakkolwiek Carter został skazany na powieszenie, na tejże samej audyencyi zapadł wyrok, zamieniający tę karę na więzienie wieczne.

— To jeszcze nie zupełnie sprawiedliwie — odrzekli słuchacze.

— Ależ dajcie mi dokończyć.

— No to dokończ majstrze Gandolf, zawsze jednak...

— Ta druga kara została zamieniona na degradacyę.

— Ale i to nawet niesłusznie.

— Kiedy mi nie dacie dokończyć...

— Bo cokolwiek bądź powiesz...

— A potem mianowano Cartera majstrem na Kameleonie.

— Wiwat! wiwat! wiwat! — wołali zacierając ręce majtkowie Kokietki z Ajacio — wiwat! wiwat! wiwat!

— A Ascott?

— A Karolina Prior?

— A Preston?

— A ty sam majstrze Gandolf?

— Ascott — mówił dalej majster Gandolf — został zamknięty w domu obłąkanych w Sydney, Preston został mianowany sędzią i ożenił się natychmiast z Karoliną Prior, która jakkolwiek jeszcze nie uniewinniona wyrokiem sądowym, przez wszystkich mieszkańców jednak za niewinną uważaną była.

— A ty majstrze Gandolf?

— Ja pozostałem przez rok cały w kolonii, potem zaciągnąłem się jako majtek na okręt trzymasztowy, który płynął do Bostonu i we dwa lata powróciłem do Europy, zawsze jako majtek. Tym razem to już skończone, najzupełniej skończone, moje dzieci.

— Jakto? już? — zapytał Junga.

KONIEC.

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

Dokończenie.

— O! nie... napiszesz do niej zaraz... ja ci podyktuję i sama list odeślę... Siadaj... pisz...

Odzyskała już kompletną pewność siebie i dyrygowała Julianem despotycznie. Usadowiła go prawie przemocą na krześle, wcisnęła mu w rękę pióro:

— Pisz...

I zaczęła dyktować:

„Moja pani!... oświadczam, że z panią zrywam, bo pani nigdy nie kochałem i żenić się się z panią nie chciałem...“

Julian odłożył pióro:

— Stefciu!... ja tak nie mogę napisać... to byłoby nazbyt niedelikatnie...

— To znaczy niby, że ja jestem niedelikatna... grubijańska!... Bo mówię prosto z mostu, co myślę!... Kłamać ani udawać nie umiem — to trudno!...

— Pozwolisz jednak, że ja sam napiszę...

— A no pisz sobie, ale ja wprzód przeczytam!...

Julian kreślił każde słowo powoli, z namysłem... Na blade czoło wystąpiły mu drobniutkie kropelki potu.

— Pokaż!...

W milczeniu podał jej arkusik papieru. Stefa przebiegła list oczyma i skrzywiła się pogardliwie:

— Ostatecznie!... może i tak być, ale to zanadto słodziutkie — jak pomadka!... Ty bo wogóle nie masz temperamentu!...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— Na miłość Boską — co to znaczy, że Julek nie przychodzi?! Nie rozumiem, jak się można w takim dniu spóźniać!... To jest poprostu nieestetyczne!... — Kazia podniecona, zdenerwowana, biegała po pokoju, mnąc w ręku jasne skórkowe rękawiczki i spoglądając co chwila na zegar.

— Może musiał załatwić jakiś sprawunek niezbędny... — łagodziła stara Woźniewiczowa, w głębi duszy sama jednak bardzo niespokojna.

— Albo poszedł do fryzyera... — wtrąciła Terenia.

— Golił się dzisiaj rano... zresztą skoro wie, że mamy iść do spowiedzi...

— Nie denerwuj się tak Kaziu. Lada moment Julek się zjawi... kto wie, czy po drodze nie zajrzał do waszego mieszkania...

— W każdym razie to spóźnianie się nie ma żadnego sensu...

Kazia i Julek mieli już mieszkanie kompletnie urządzone — skromnie, ale bardzo wygodnie, ładnie — gustownie... Woźniewiczowa, aby usłać synowi małżeńskie gniazdko, poświęciła stare, stylowe, pamiątkowe meble, które pierwotnie przeznaczała dla Tereni. Kazia wystarała się o pożyczkę, umożliwiającą jej sprawienie różnych drobiazgów, potrzebnych w gospodarstwie domowem... Cieszyła się szczerze tym „swoim domem“, a zadowolenie odbiło się dodatnio zarówno na jej powierzchowności, jak i na usposobieniu... Wyładniała, złagodniała i nawet rzadziej używała swoich przesądnych „indywidualnych“ wyrażeń. To też stosunki pomiędzy Kazią a przyszłą teściową układały się coraz lepiej... Woźniewiczowa nabrała przekonania, że Kazia jednak może stać się dobrą żoną i dla Julka i godziła się coraz bardziej zarówno z jej „gminnem“ pochodzeniem, jak i z lukami wykształcenia.

— Kaziu, chodź, pokażę ci coś — rzekła Woźniewiczowa, chcącąc rozerwać dziewczynę, którą przydługie czekanie na narzeczonego wprawiało w stan szalonego zdenerwowania — przygotowałam mały prezent dla młodej mężatki...

Z dobrym, serdecznym uśmiechem wyjęła z szafy śliczną, powiewną sukienkę z błękitnej markizety haftowanej w ciemno-rdzawe stylizowane irysy.

— Te irysy to moja robota... Haftowałam sama... jakże ci się podoba?...

— Śliczne! śliczne!... efemeryczne poprostu!... Dziękuję mamusi!...

Pochyliła się do ręki Woźniewiczowej, tym razem bez cienia sztucznej egzaltacyi... Była szczerze wzruszona.

— Przymierz... Będzie ci bardzo do twarzy...

Kazia zaczęła rozpinać guziki bluzki, który miała na sobie...

— Ależ, Kaziu — wtrąciła Terenia — Julek lada chwila przyjdzie, a przecież ty w tej sukni nie pójdziesz do kościoła... Lepiej przymierzyć później...

— Prawda — Kazia ostrożnie złożyła suknie na sofce. — Ale gdzież on jest?!... To coś okropnego doprawdy — taka niepunktualność...

— Boże!... czyżby mu się stało co złego?... — zaniepokoiła się matka i dreszcz trwogi wstrząsnął nią.

— Niechże mamusia nie robi przypuszczeń... Przecież Julek nie dziecko, żeby wpadł pod tramwaj albo dał się pokąsać psu... Prędzej spotkał kogo po drodze, kto go zatrzymał...

— Któżby go mógł zatrzymać...

Woźniewiczowa i Kazia spojrzały sobie w oczy. Jedna myśl przeszyła im mózgi — natrętna i raniąca... Zrozumiały się bez słów.. Nienawistny cień zamajaczył...

— To niepodobna.... — szepnęła niedosłyszalnie Woźniewiczowa, sama nie zdając sobie z tego sprawy co mówi.

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek.

— Julek! — krzyknęła radośnie Terenia, biegnąc do drzwi.

— No! nareszcie!... — uśmiechnęła się błogo matka.

Kazia nie powiedziała nic — odetchnęła tylko głęboko.

— To nie Julek... to ekspres z listem od Julka do Kazi...

— Co takiego?!...

— List od Julka do mnie?! Daj!...

Kazia wydarła Tereni kopertę z ręki, rozerwała dygoczącymi palcami.

— Aaa!... — z gardła dziewczyny wydobył się głos chrypliwy — straszny jak rzężenie.

— Co się stało?...

Kazia sino blada podała list Woźniewiczowej. Matka Juliana po przeczytaniu pierwszych słów upuściła arkusik na ziemię... Przerażona chwyciła się rękami na swe bujne siwiejące włosy.

— Boże!... Boże!... Ależ ten chłopak oszalał!... To się stać nie może!...

— Mamo!... mamo!... — Terenia chwyciła matkę za rękę — Julek zrywa?!... bo panterka!...

— Panterka!...

Wyraz ten przeszył powietrze jak syk jadowitej żmiji.

— Kaziu!... dziecko moje... nie płacz — ja na to nigdy nie pozwolę... Na pamięć ojca zaklnę... na honor...

— To nie po... może... tamta przeklęta już go nie puści... I co ja teraz zrobię?... co ja teraz zrobię...

— Nie!... nie!... on się z tamtą ożenić nie może...

— Patrzcie!... patrzcie! — zawołała Terenia i otworzyła szeroko okno... Po przeciwległej stronie ulicy strojna w najmodniejszy ponsowy kapelusz i elegancki płaszcz o długich rękawach powiewających jak skrzydła — szła Stefa Łączkówna — uśmiechnięta tryumfująco, promieniejąca jakiemś zwierzęcem złem zadowoleniem... ucze piona u ramienia Julka wlokła go ze sobą — bezwolnego, ujarzmionego...

— Panterka...

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

7)

Życzliwa kobieta – zniżywszy głos, jak gdyby z przyzwyczajenia – objaśniała ją, lecz Maryi zrobiło się słabo pod wrażeniem myśli o kaźni jenerała i nic już nie słyszała, co dalej mówiono. Ale Iza potakiwała, że zdaje sobie dobrze sprawę z tego, gdzie może być owa katownia czerwonych, znęcających się nad białymi.

– Trafię. Ja ją zaprowadzę. A zresztą mnie zaprowadzi... mnie zaprowadzą...

Ale już słów ostatnich nie słyszała żona dozorcy, chociaż dziwnie spojrzała na Edwardową i ramionami wzruszyła.

Wyszły na ulicę. Rozglądały się niespokojnie. Już jakiś ruch był na mieście, mimo bardzo wczesnej pory, a nad ich głowami z przeraźliwym gwizdem przelatywały śmiercionośne pociski.

– Dokąd pójść, co z sobą począć.

Biali są w mieście, a one tymczasem wszędzie widzą wojsko czerwone.

– Więc może to dopiero walka o miasto.

– A jeszcze może wynik niepewny.

Umówiły się, że nie dość bezpiecznie będzie plątać się po mieście – i skręciły pod starą cerkiewkę, gdzie, ukryte, przesiedziały parę godzin.

Było to na uboczu od ruchu ulicznego i zdala od zgiełku walki. Nikogo nie można się było spodziewać w pobliżu zamkniętej cerkiewki. Więc obie kobiety siedziały tam chętnie, czekając – aż się coś odmieni... aż się sytuacya w mieście wyjaśni...

Kiedy były sąsiadkami w jednym domu, łączył je stosunek sympatyczny, ale daleki. Zbliżały się do siebie za każdym razem – dopiero w godzinach grożącego niebezpieczeństwa. Ale kiedy te chwile mijały – znowu były tylko sąsiadkami, kłaniającemi się nawzajem życzliwie przy spotkaniu – i nic więcej.

Dziś wielkie nieszczęście złączyło Maryę z Izą i przyjaźń niewymuszona splotła z sobą dwie zbolałe dusze.

Nie wiedziały, kiedy wśród szeptów cichych przyszło do zwierzeń poufnych... do otwarcia dusz naścieżaj... do wywnętrzenia się z tajemnicami, których, zdawało się, nie byłaby żadna wypowiedziała przed nikim.

I oto podzieliła się Iza swą tajemnicą największą: wyznała, że po śmierci nawiedzać ją mogą dwa duchy... bliskie a drogie...

Marya zapadła w smutek wielki...

...Czyżby Paweł, z którym żyła tak szczęśliwie, nie kochał jej tak mocno, jak mąż Izę.

Dlaczego tedy duch rozstrzelanego jenerała nie przyjdzie tak pocieszyć jej, jak tamci dwaj odwiedzający Izę.

A więc on nie może? czy też jej nie dano tego, co wolno Izie?

– Dlaczego – pytała – dlaczego nie wszystkim dano.

I czemu nie wszyscy mogą stamtąd wracać... i mówić... i działać wyzwolonym duchem?

– Powiedz mi, Izo... jakie było twoje życie... Coś ty robiła, by zasłużyć na to zagrobowe szczęście...

A na to Iza nie umiała jej dawać odpowiedzi. I trzeba było długo na ten temat rozmawiać, by zdać sobie sprawę z tego, na czem upływało życie Izie samej... i pożycie jej z Edwardem... i przyjaźń ich z Zygmuntem.

A rozmów długich dwóch przyjaciółek treścią okazało się to jedno, że życie ich do chwili katastrofy tragicznej było życiem uduchowionem.

Wszystko, co materyalne, opadało – jak plewy w młynie.

Duch zaś unosił się nad wszystkiem...

I wszystko sobą wypełniał...

I mrok wszelki rozjaśniał...

I brzydotę wszelką wypiękniał.

I pustkę wszelką napełniał treścią...

– A czy w mojem życiu – pytała Marya zrozpaczona – tak bardzo brakło tej ducha przewagi nad materyą?

I znowu płynęła rozmowa. Ale nie doprowadzała do niczego. Zdawało się, że życie Maryi z Pawłem było dość uduchowione; a jednak – skąd ta różnica między niemi?

Więc wielki żal rodził się w piersi nieszczęśliwej kobiety...

I cicha zazdrość budziła się w jej sercu, że tego, co koi dziś bolesną dolę Izy, jej zaznać nie dano...

A zarazem jakiś nieuchwytny żal zaczęła uczuwać do tego biednego, tak ukochanego Pawła, który ją teraz opuścił... i nie wraca do niej duchem...

– Nie można wiedzieć nic – szeptała Iza. – Wszak może być jeszcze za wcześnie... Słyszałam, że nieraz to bywa później... Więc jeszcze nie należy wątpić.

– A jeśli we mnie brak wiary – spytała nagle – bo możeś ty, Izo, wiarą mocniejsza.

A kiedy pytanie to rzuciła, granat padł w szczyt dzwonicy ponad ich głowami – i do ich nóg posypał się gruz i tuman pyłu rozwiał dokoła ich ukrycia. Marya zerwała się przerażona, gdy Iza wstawała powoli, bez lęku.

– A widzisz! w tobie spokój jest... ten wielki spokój ducha... na który mnie pewnie nigdy stać nie będzie.

Powlokły się powoli w dolną dzielnicę miasta i zbliżyły się do ogromnych ruin po spalonych zakładach oczyszczania spirytusu.

Ile razy zauważyły figurę wojskową, zbaczały i kryły się, by się z nikim nie spotkać. Wszędzie bowiem upatrywały kogoś, kto mógł odkryć ich ucieczkę z więzienia.

Ale za chwilę zapuszczały się dalej i wyszły nad rzekę.

Tu wszędzie były zgliszcza... śmietniki i gnojówki... padliną cuchnące... wstrętne i pełne czarnego ptactwa.

Weszły w dół, gdzie były kępy krzaków, a pomiędzy niemi sterczały kopce.

Pustką tam wiało, a wrzawa niosła się głośno ponad krzakami. To czarne ptactwo biło się tam z wrzaskiem o coś z psami.

Iza zatrzymała się nagle i zaczęła Maryę uspakajać... prosić, by się zdobyła na wiele odwagi. Lecz ona mimowoli wybuchnęła płaczem i długo nie dała się niczem ukoić.

Po dłuższej chwili ruszyły z miejsca dalej.

Iza szła przodem, szła krokiem pewnym. Ręka jej naprzód nieco wysunięta, sprawiała na Maryi wrażenie, że się ona o kogoś opiera... że ją ktoś prowadzi...

– Izo, ty nie sama?

– Tak, Edi jest ze mną.

Marya ręką zasłoniła oczy i znowu przystanęła, drżąc cała.

– Odwagi, Maryo... On nas prowadzi do niego. On tobie mogiłę jego pokaże.

I szli dalej we troje.

Wtem Iza przystanęła i twarz odwróciła... a wtedy Marya krzyknęła głosem nieludzkim... i do nóg jej runęła.

Nieduży kopczyk ziemi... wyraźne jeszcze krwi zaskrzepłej kałuże... i stercząca z piasku ręka ludzka.

Poznała tę jego rękę!

To do tej ręki tak przypadła w bólu oszalała... i krzyczała, jak gdyby chciała ból wszystkich wdów... takich jak ona... wykrzyczeć, by aż tam złote słońce głos ten słyszało i chmurą zakryło swe jasne oblicze.

A potem nastał spokój, jak gdyby ten krzyk zupełnie uleczył ją z wszelkiej rozpaczy.

Cicha, zrezygnowana, ze wszystkiem już pogodzona – pracowała w pocie czoła.

Godziny mijały, a ona w blaskach jasnego słońca własnemi rękami odgrzebywała kurhan, kryjący krwawą ofiarę czarnej nocy.

Nie wiedziała, skąd tyle siły znalazło się w tych drobnych palcach.

Ale radowała się na myśl, że jeszcze chwila, a odgrzebie całego.

W istocie jeszcze kilka wysiłków... i ujrzała całego trupa męża.

I już bez krzyku... z cichym szlochem... legła głową na tej trupiej twarzy... by się na zawsze pożegnać.

I oto w tym grobie odkopały dwie łopaty.

...Może jedną z nich jenerał kopał sobie sam grób przed salwą.

Słońce zachodziło, kiedy kobiety, skończywszy kopać nowy grób, osobny, ułożyły w nim ciało męża Maryi – i łkaniem wstrząsane, jęły zasypywać ziemię na trumnę z liści, którą przykryły jenerała.

Odpoczywały długo i zbierały siły do powrotu do miasta, gdy wśród zmierzchu wieczornego ukazał im się zbliżający się powoli korowód z błyszczącymi bagnetami.

Poznały. To tutaj, już o wczesnej godzinie prowadzą nowe ofiary.

Strzelanina dawno ucichła... i tylko zdaleka chwilami gdzieś huknie bomba.

Zatem nadal panami miasta czerwoni.

A biały sztandar... gdzie?

Ukryły się za krzaki, a potem zaczęły się cofać ku zgliszczom w ruinach... i przepadły.

VI.

Gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy, miliony gwiazd w otchłaniach granatowych...

A na ziemi noc ciemna – i dwie kobiety od głębokiego lęku drżące, niby dwa listki topolowe.

Tam za rzeką – pod srebrzystym baldachimem rozłożystych topoli – na wiorstwowej przestrzeni gęste zarośla. Tysiąc starych krzaków dzikiej róży, co wiosną kwitła urocznie złotawożółtym kwiatem...

Tu przed rzeką – ruiny i zgliszcza... i strach, wyłażący z każdego zakątka...

A w pośrodku cichy szum fal rzecznych...

Salwa... raz, drugi, trzeci...

Jakieś echa załomotały się pod baldachimem topolowym... z pluskiem wody rozbiły się o kamienne ruiny... i poniosły się hen w step.

Znowu cisza... i pustka wokoło... i strach wyłażący poprzez zwęglone klepki z potwornych, spirytusem cuchnących kadzi... I dwie kobiety trzęsące się jak krzaki na wietrze za każdym krokiem w popiele...

A górą gwiazdy... gwiazd miliony...

Kędyś zdala – trzask karabinów maszynowych... i kędyś bliżej – salwa... jedna i druga... i jakiś wielki jęk...

– Słyszałaś?

– Tak, to jęk. Ale to jękło, jak gdyby naraz mnóstwo ludzi.

Nowa salwa.

– A to co? Coś trzepocze... coś się łomocze w powietrzu...

– Może jakie ptactwo?

– Gdzieżby o tej porze.

– A to... słyszysz?

– Psy wyją...

– Nie, jakiś wielki płacz.

– Strzał daleko... a tak go długo niesie echo.

– Czy uważasz, jak popiół dziwnie skrzypi pod naszemi nogami.

– Nie idźmy tam dalej – zatrzymajmy się tutaj.

– A może przecież uda nam się wydobyć z tego labiryntu ruin...

– Słyszysz?... Nie można! Ta ostatnia salwa była ze strony przeciwnej. Więc idąc w tamtą stronę, moglibyśmy się natknąć na to samo, co po tamtej stronie.

– Ty już iść nie możesz. Spróbujmy tu przysiąść. Siadajmy na jakim kamieniu... Spoczniemy.

– A to co? te czarne cienie... To się rusza.

– Nie... to resztki murów ponad zgliszcza sterczące.

– Tam coś szeleści... tam w tym kącie...

Nie... ja tu siedzieć nie będę.

– Próbujmy iść dalej.

– O, jak tu strasznie chrzęści pod nogami. Zmiłuj się... wszak my depczemy po zwęglonych trupach.

– Idź tędy ostrożniej, bo mnóstwo szkła pod nogami.

– Gwałtu! zapadam się... jakaś nora.

– Tędy, tędy... Trzymaj się tego! Tamtego słupa się chwyć ręką... O, tak, tędy...

– Nie! ja już nigdzie dalej nie pójdę... już wolę zostać.

– Tam, tam... wyżej... na tym murze przysiądźmy...

– Jeszcze jedna salwa... i jeszcze... Wiesz... oni tak masowo... z zemsty za napad białych... porywają pewnie z domów inteligencyę... i wyprowadzają bez sądu na rozstrzelanie.

– Wszak tak robili w innych miastach.

– Przecież licz, ileśmy już słyszały... a to tak wczesna godzina.

– O, teraz wyraźnie po wystrzale jakiś jęk dosłyszałam... Wiesz... nie rozwiał się... ale jak gdyby zawisnął...

– Tak... ja od chwili zewsząd słyszę jęki.

– Słyszysz?

– Co słyszysz?

– Gdzie?

– Stamtąd... i tutaj... Tu wszędzie... dokoła nas... jakiś szloch... jakieś łkanie wstrząsa powietrzem.

– A teraz... co to było? Coś zawyło czy ryknęło...

– To gdzieś tu blisko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Wrogie losy rozdzieliły nas swojego czasu na trzy części, odnoszące się do siebie z wielką nieufnością. Galicyanin, Kongresowiak i Poznańczyk byli w prawdzie Polakami *de nomine*, ale każdy z nich uważał się właściwie za coś odrębnego. Z chwilą zjednoczenia dawnych dzielnic Polski poprzednie tarcia nie ustąpiły, każdy z byłych zaborów uważał siebie za najbardziej polski, pozostałym dwom wytykając ich wady i usterki, nieraz bardzo przejaskrawione, a jeszcze częściej wprost z palca wyssane. Teraz dopiero pokazało się, że synowie jednej i tej samej ziemi, używający jednego języka, właściwie zupełnie się nie znają i wzajemnie się nie doceniają. Poznańczyk uważał siebie zawsze za najlepszego Polaka i wobec braci z innych zaborów trzymał się zawsze z wielką rezerwą, Kongresowiak i Galicyanin odpłacali mu wzajemnością, wzajemnie szyto sobie buty i szyje się je do dnia dzisiejszego i wiele lat jeszcze upłynie, nim ludność zjednoczonej Polski zjednoczy się naprawdę i stanie do wspólnej pracy.

Pomiędzy byłą Kongresówką a Galicyą toczy się ciągle zawzięta walka o to, kto jest lepszym Polakiem, Kongresowiak czy Galicyanin, jedna i druga ze stron walczących nie przebierają w środkach i starają się swych przeciwników przedstawić światu w jak najjaskrawszem oświetleniu, oczywiście pod kątem własnego widzenia. Bojownicy warszawscy, rekrutujący się przeważnie z żywiołów napływowych, przypisują byłemu Galicyanowi, a dziś Małopolaninowi tyle wad, że, czytając ich elukubracye, poprostu wierzyć się nie chce, iż na gruncie polskim można było wychodować takie ananasy. Panowie Rabski, Nowaczyński, ostatnio nawet Zamorski *et tutti quanti* idą o lepsze w zohydzaniu mieszkańców Małopolski, którzy zdaniem ich, wstyd tylko Polsce przynoszą, pod panowaniem austryackiem zatracili bowiem wszelkie szlachetniejsze porywy a nasiąknęli tylko tem, co im i całej Polsce przynieść może tylko szkodę. Zdaniem ich Małopolanie to próżniaki, samochwały, łapowniki, biurokraci, nie mogący zapomnieć o dwugłowym orle, pod którego skrzydłami tak im było wygodnie, a zarazę tę niosą ze sobą w granice byłej Kongresówki, dokąd ciągnął masowo uważając ją za odpowiednie dla siebie żerowisko.

Oczywiście i Małopolska nie pozostała bez odpowiedzi i niejednokrotnie starała się wykazać, jak duszna atmosfera pozostała w byłej Kongresówce po rządach carskich, jak się tam pięknie krzewi i rozchodzi po innych zaborach, zatruwając w nich zdrowe dotąd powietrze. Warszawski dyletantyzm i bagatelizowanie sobie wszystkiego piętnowane były na każdym kroku, a historyjki o rozmaitych panach o domowem wykształceniu były najlepszą charakterystyką panujących tamto stosunków i ludzi, którzy dochrapali się wysokich stanowisk i choć im na nich niewygodnie, trzymają się ich rękami i nogami.

My byliśmy zawsze bezstronni, podnosiliśmy z uznaniem, co na podniesienie zasługiwało, nie żałowaliśmy słów potępienia dla tego, co się o nie poprostu prosiło, tak w pochwałach, jak i w naganach starając się o zachowanie pewnej miary i nieprzekroczenie granic przyzwoitości. Gdy też swojego czasu jedno z pism krakowskich wystąpiło z ostrym atakiem przeciw tak zwanym przez siebie „Warszawistom", podnosząc z oburzeniem fakt, że Kasa miejska w Warszawie wydawała pokwitowanie na wpłacone dwa fenigi i nazwało to szczytem biurokratyzmu, stanęliśmy wówczas w obronie Warszawy, zaznaczając, że racyonalne prowadzenie kasowości wymaga najdokładniejszego rejestrowania i najmniejszych wpływów i wydatków, że zatem wydanie kwitu na wpłacone dwa fenigi nie może być uważane za objaw biurokracyi i niepotrzebne marnowanie drogiego papieru i czasu, lecz uważać je należy za konieczne następstwo systemu kasowego, żądającego na wszystko dowodów czarne na białem. Owe dwa fenigi nie wpisane należycie mogą w rachunkowości wprowadzić zamęt, równie przykry i niepożądany, jak gdyby rozchodziło się o tysiące. Czy Warszawa była nam wdzięczną za to, że w danym wypadku wzięliśmy ją w obronę, o tem nie wiemy, ale to jest pewnem, że niedługo potem dała nam odczuć na naszej własnej skórze, że kult św. Biurokracego kwitnie tam w całej pełni, rozwijając się daleko pomyślniej, niż nawet u nas, których stale uważa się za najobskurniejszych biurokratów.

Oto, gdy przed niedawnym czasem obsadzono w Warszawie trzy fotele ministeryalne, chcąc naszym Czytelnikom podać podobizny nowokreowanych panów ministrów zwróciliśmy się w krótkiej drodze do sekretaryatów owych ministerstw, prosząc w prywatnych listach o nadesłanie portretu pana ministra, ewentualnie wskazanie miejsca, dokąd zwrócić starania. Wychodziliśmy z założenia, że w sekretaryatach ministeryalnych zbyt wielkiego kłopotu to nie sprawi, jeżli odnośny pan, któremu ów list dostanie się w ręce, zechce nam pójść na rękę i załatwi to w krótkiej drodze, a komuż może to przyjść z większą łatwością, jak jednostce, zajętej bezpośrednio przy samym wielkim ołtarzu.

Któż jednak opisze nasze zdziwienie, gdy po niespełna trzech tygodniach otrzymaliśmy z sekretaryatu jednego z ministerstw urzędowe zawiadomienie, iż „podanie nasze wstrzymane zostało w biegu aż do chwili, gdy nadeślemy znaczek stemplowy na dziesięć marek, którym musi ono w myśl rozporządzenia Naczelnika Państwa zostać zaopatrzone." Ponieważ sprawa była już nie na czasie, zrezygnowaliśmy z zamiaru, tembardziej, iż nie uważaliśmy listu naszego za podanie, wniesione w drodze urzędowej i składając odpowiedź do kosza redakcyjnego, skąd dostała się do pieca, uważaliśmy całą historyę za skończoną, dziwiąc się w duchu, że Warszawa, zarzucająca nam biurokratyzm, sama go kultywuje.

I do dnia dzisiejszego bylibyśmy z pewnością już zapomnieli o owem podaniu które zostało wstrzymane „w biegu", gdyby nie wezwanie ze strony Urzędu pocztowego, aby złożyć dziesięć marek, a otrzymamy w zamian za to jakieś bardzo ważne pismo urzędowe z Warszawy. Ponieważ był to czas, w którym w Warszawie spadł gwałtowny deszcz orderowy, po walnej naradzie redakcyjnej zdecydowaliśmy się zaryzykować dziesięć marek, w nadziei, że warszawskie pismo urzędowe przyniesie nam jakąś miłą niespodziankę, dajmy na to ordery, jeśli nie dla wszystkich członków redakcyi, to bodaj dla kronikarza, który stale cierpi na chorobę piersiową i bardzo chętnie widziałby na swych piersiach widomy dowód uznania pod postacią orderu, choćby nawet klasy piątej, nie mówiąc już o tem, że jako tyle lat żonaty i to do tego z Weroniką, może sobie rościć zupełnie słuszne pretensye do krzyża wojennego. Z chwilą, gdy woźny redakcyjny przyniósł z poczty odnośne pismo urzędowe, za którego doręczenie trzeba było zapłacić owe dziesięć marek, rozczarowanie ogólne było ogromne, ale zdziwienie jeszcze większe, zwłaszcza, gdy przeczytaliśmy czarne na białem, że sekretaryat owego ministerstwa o którem wyżej była mowa, zawiadamia nas, naturalnie urzędowo, iż, ponieważ nie uczyniliśmy zadość wezwaniu i nie nadesłaliśmy marki stemplowej na dziesięć marek, wniesione tamże przed sześciu tygodniami podanie uwzględnione być nie może.

Niechaj zatem każdy bezstronny powie, czy nie jest to zupełnie niepotrzebne marnowanie drogiego czasu i papieru bardziej potępienia godne, niż ów kwit na dwa fenigi.

Jeśli odnośny sekretaryat nie miał zamiaru ułatwić nam sprawy przez zajęcie się nią, jak to mówią od ręki, powinien był list wrzucić do kosza i przejść nad nim do porządku dziennego, a nie opatrywać numerem bieżącym, wstrzymywać w biegu i psuć papier i tracić czas, aby to samo zrobić po upływie kilku tygodni. Ciekawa jednak rzecz, co byłoby się stało, gdybyśmy byli w swoim czasie nadesłali ową żądaną markę stemplową. Najprawdopodobniej „podanie nasze" byłoby musiało przejść całą drogę urzędową, dostać się do odnośnego referenta, od niego do innego, potem do biura prezydyalnego, z powrotem prawdopodobnie do sekretaryatu, a efekt byłby taki sam, z tą jednak różnicą, że odpowiedź otrzymalibyśmy nie w kilka tygodni, lecz w kilka miesięcy, gdy na fotelu ministeryalnym znalazł się już zupełnie kto inny.

Dwa inne sekretaryaty ministeryalne nie odezwały się zupełnie, ale nie żywimy do nich bynajmniej żalu lub urazy, choć nie jest wykluczone, że za kilka miesięcy mogą i stamtąd nadejść zawiadomienia „o wstrzymaniu w biegu" naszych podań.

Jest to doprawdy wzruszający obrazek biurokratycznego załatwiania spraw, polegający na tem, że każdy musi otrzymać swój porządkowy numer i odbyć przepisaną drogą z należytem odleżeniem się na biurkach różnych referentów, co ma na nią wpływ podobno tak dodatni, jak na dziczyznę, która potrzebuje koniecznie odleżenia, aby skruszała. Bez liczby porządkowej i tak zwanych „priorów", t. j. aktów poprzednich, do danej sprawy odnosić się mających, żadna się widać i w Polsce obejść nie może.

Mimowoli przypomina się ów słynny austryacki radca, który czterdzieści lat żywota spędził za urzędowem biurkiem i nawet swe życiowe sprawy traktował zawsze urzędowo. Gdy się raz zdarzyło, że otrzymał pomocniczą siłę konceptową, w osobie młodego komisarza, na próbę dał mu pewien referat do załatwienia. Młody człowiek cały zapas wiedzy prawniczej włożył w załatwienie tego „kawałka", aby wstępnym bojem zdobyć sobie uznanie swego przełożonego i któż opisze jego zdziwienie, gdy stary mamut wezwał go do siebie i oświadczył kategorycznie:

— Panie łaskawy, ja tego referatu aprobować nie mogę!...

Młody człowiek zbaraniał, zdawało mu się bowiem, że wykonał prawniczy majstersztyk, a tutaj zaraz na wstępie spotyka go taka niespodziewana zimna kąpiel.

A dlaczego panie radco? — zapytał.

— Dlatego — brzmiała odpowiedź bardzo poważna, ponieważ nie dołączył pan do tej sprawy żadnych „priorów"...

— Pan radca pozwoli sobie zwrócić uwagę, że ta sprawa niema żadnych priorów...

— Co to znaczy niema!... Każda sprawa musi mieć swoje „priora" i oświadczam kategorycznie, że bez nich referatu nie podpiszę!... Proszę sobie go zabrać!

Nie pozostawało nic innego, jak być posłusznym woli swego przełożonego, co jednak tak ujemnie wpłynęło na humor młodego człowieka, iż zwróciło to nawet uwagę starego oficyała kancelaryjnego, który od lat kilkudziesięciu urzędował wspólnie z panem radcą i znał doskonale jego słabostki i przyzwyczajenia. Gdy komisarz opowiedział mu o co się rozchodzi i zakończył że nie wie, zkąd wziąść owe żądane poprzednio akta, skoro ich niema zupełnie, oficyał machnął lekceważąco ręką i rzekł:

— Niechno pan komisarz da ten referat, już my się postaramy o to, że stary go podpisze...

Komisarz zrobił, jak mu officyał doradził. Nazajutrz, zaledwie pojawił się w biurze, wezwano go do pana radcy.

— Powitał go słowami:

— A widzi pan, że się „priora" znalazły... Jeśli człowiek tylko chce, to zrobi wszystko, a sprężysty urzędnik musi chcieć... referat podobał mi się, jestem z niego zupełnie zadowolony, co zaś najważniejsze, że po wglądnięciu w „priora" nabrałem odrazu jasnego poglądu na sprawę i nie potrzebowałem sobie łamać głowy, ani tracić czasu na próżno... a pan wie chyba, jaką wartość ma czas, zwłaszcza dla urzędnika...

I z miną bardzo łaskawą wskazał pan radca na swe biurko, na którem leżał ów nieszczęsny referat, a obok piętrzyła się kupa najrozmaitszych aktów, powiązanych sznurkami i mniej lub więcej zakurzonych, dając w ten sposób do zrozumienia, że może sobie to wszystko zabrać.

Komisarz uczynił też tak, a gdy powrócił do swojego biura, oficyał powitał go zapytaniem:

— A nie mówiłem, że stary podpisze!... Już ja go znam dobrze...

— Ale skąd pan wytrzasnął te priora, nad których wyszukaniem tak sobie łamałem głowę?... — badał komisarz ciekawie.

— Ja tu mam pod ręką zawsze odpowiedni zapas rozmaitych wysortowanych starych aktów, które podaję staremu ilekroć zażąda „priorów"...

Ale cóż one mają wspólnego z tą sprawą?

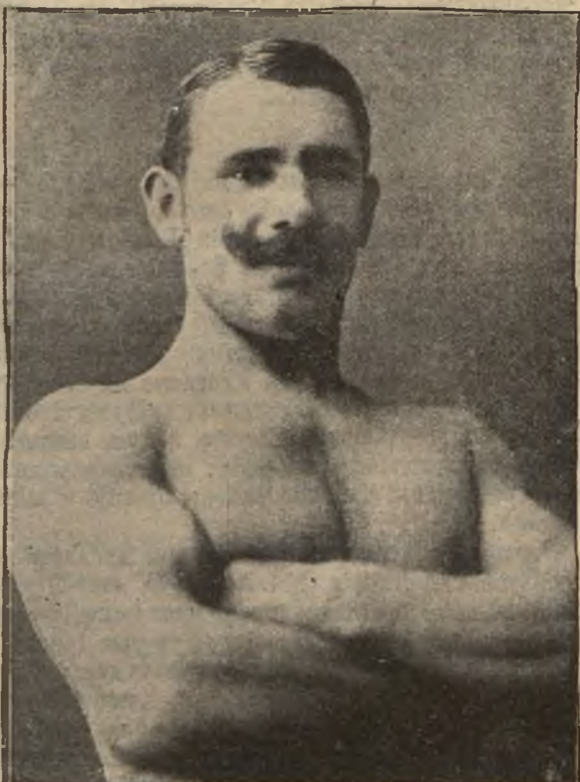
— Oczywiście, nic!... Jemu rozchodzi się tylko o to, aby je miał i jest bardzo zadowolony im ich więcej... Umyślnie daję mu najbardziej zakurzone, aby go przypadkiem ochota nie zebrała zaglądnąć do której paczki...

Tak było niegdyś w ś. p. Austryi, podobnie, jak widzimy dzieje się obecnie i u nas, choć może na mniejszą skalę, a nie można narzekać, że winę ponoszą urzędnicy z byłego austryackiego zaboru, gdyż jest ich w Warszawie stosunkowo niewielu, na stanowiskach zaś „wstrzymujących podania w biegu" widzimy przeważnie tamtejszych obywateli, tem się też tłómaczy ów piękny styl urzędowego oświadczenia, na jaki nie zdobyłby się żaden wychowanek byłej austryackiej szkoły biurokratycznej. Gdyby u nas nie hołdowano w dalszym ciągu regułom św. Biurokracego, wyszłoby na tem lepiej także i państwo, przedewszystkiem zaś jego skarb, okazałoby się bowiem, że i dziś, choć przeprowadzono już redukcyę sił urzędniczych, jest ich jeszcze i tak aż zanadto wiele i wzajemnie sobie przeszkadzają.

Ale to głupstwo, z tego kiedyś może się przecież otrząśniemy, obecnie najważniejsza jest kwestya, czy zabierać się do przygotowania wyborów, czy też, korzystając z pory, wybrać się na świeże powietrze. Kto chce użyć tego ostatniego, powinien pamiętać o trzech rzeczach, które w dzisiejszych czasach oznacza się skrótem „Pop", t.j. zastanowić się, czy zachodzi potrzeba wyjazdu, czy jest ochota, a przedewszystkiem czy są pieniądze. Ze względu na to, co wyżej, doszedł kronikarz do przekonania, że potrzebne mu jest odświeżenie się na łonie matki przyrody, że ma do tego ochotę, brakuje mu jedynie drugiego „p", t. j. pieniędzy.

myslowców p. Lankosza i Zajączka. P. Matejko przygotowuje kilka kartonów witraży zamówieniach z całej Polski. Okazuje się, że „Industria“ trafnie obrała rodzaj przemysłu, który w Polsce był dotąd w zaniedbaniu i wykonywany na małą skalę. Jak się dowiadujemy, głównym celem „Industrii“ jest tworzenie przemysłu przeróbki szkła surowego.

Może ona swoimi fabrykatami wykonywać oszklenia nowych gmachów, kościołów itp. począwszy od zwykłego oszklenia, a skończywszy na lustrach i witrażach od najskromniejszych aż do najbardziej wykwintnych. Aby podołać tym zadaniom, firma ta



Zapaśnictwo jako sport: Trener, amator-atleta, Mieczysław Tylko.

projektuje wybudowanie nowego gmachu na własnej parceli przy ul. Rzeźniczej 112, który pomieści odpowiednio powiększoną Wytwórnię luster, Szlifiernię szkła i Zakład oszkleń. Celem zebrania potrzebnych funduszów Walne Zgromadzenie wspólników „Industrii“ w dniu 15 bm. uchwaliło przemianę na Spółkę Akcyjną, chcąc dać możność udziału szerszym warstwom społeczeństwa w tem przedsiębiorstwie. Przypuszczamy, że społeczeństwo pospieszy ze subskrypcyą akcyi, należycie oceniając dobrą wolę i pracę inicyatorów, mającą na celu uprzemysłowienie kraju. Akcye te przyniosą wspólnikom pokaźne zyski i doskonałą lokatę kapitałów.

„Industria“ rozwija się coraz lepiej; zawdzięcza to głównie niezmordowanej pracy naczelnego dyrektora inż. Juliana Trentlera, doskonałego organizatora i przemysłowca, któremu sekundują ze skutkiem dobrani współpracownicy. Nowością w organizacyi Zakładów przemysłowych B. T. H. „Industria“ jest dopuszczenie pracowników do udziału w zyskach. Nowość ta okazała się dobrą i będzie musiała być wprowadzoną wszędzie tam, gdzie kwestya robotnicza jest trudną do rozwiązania.



Poświęcenie „Wytwórni Witraży i Zakładu Oszkleń“ w Krakowie: Pracownicy Wytwórni Witraży wraz z dyrektorem inż. Trentlerem i kierownikiem Konkiewiczem.

Zapaśnictwo jako sport.

Zapasy, ten piękny i tyle zalet posiadający sport starożytnych Greków, u których cieszył się wielkiem powodzeniem, stawiany w owych czasach za pierwszorzędny warunek dla dążącego do głośnej „Kalokagathia“, najodpowiedniejszy środek do racyonalnej kultury ciała, najlepiej odpowiadający zasadniczym celom sportów, cieszy się u nas tak małem powodzeniem, iż można powiedzieć, że pośród reszty sportów, mimo wielkich zalet, traktowany jest po ma-



Katastrofa lotnicza pod Rzeszowem: Po próbnym locie na lotnisku krakowskiem w przeddzień katastrofy 1) Mjr-obserwator Toruń, 2) red. „Gońca krakowskiego“ Daniluk, 3) pilot włoski Lovadina, 4) ppłk.-pilot Cieślewski, 5) szef misyi włoskiej w Krakowie kpt.-pilot Parvopassu, 6) płk-pilot Zalewski, 7) inż. Cesareni, szef fabryki „Ansaldo“, 8) ktp.-pilot Matula.

coszemu. Zapasy posiadają tę wyższość nad innymi sportami, że prowadzą do harmonijnej budowy ciała, że rozwijają równocześnie muskulaturę całego ciała, której to zalety inne sporty nie posiadają.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć wyjątek z pracy p. Juliana Kl. Malickiego, który w broszurze p. t. „Tajemnica walki francuskiej“, staje w obronie tego pięknego sportu, wskazując jego dobre strony, przy równoczesnem uwzględnieniu wad reszty sportów.

Na stronie 14 owej broszurki czytamy: „... Walka francuska posiada tę zaletę, że w przeciwieństwie do innych sportów najbardziej współmiernie rozwija wszystkie członki organizmu, przewyższając tym warunkiem wszystkie inne sporty. Okoliczność ta ściągnęła uwagę wybitnych gimnastyków, którzy twierdzą, że w walce francuskiej znajdują dopiero całkowite zaspokojenie swoich aspiracyi w kierunku wychowania fizycznego. W charakterze bowiem niektórych innych sportów, których nie jestem przecież przeciwnikiem, może tylko miłośnikiem gorącym. leży cały łańcuch ujemnych stron.

Popularna u nas piłka nożna ogranicza się przeważnie do rozwoju mięśni kończyn dolnych, upośledzając inne części ciała, przyczem gracze footbalowi niezwykle szybko się zużywają przez ciągły a jednostajny ruch.

Sport kolarski, ćwicząc mięśnie nóg, ujemnie odbija się na sercu i klatce piersiowej, wykluczając zupełnie ćwiczenia pozostałych części ciała.

Wioślarstwo rozwija tylko górną część ciała, krępując znów nogi i biodra. Tennis doskonale wprost wpływa na zahartowanie rąk, ale pozatem jest tylko zabawą towarzyską.

Boks obfituje znów w całą wibracyę uderzeń, które udzielają się masie nerwowej mózgu i powodują chwilowe, niemniej jednak niebezpieczne porażenia boksera, jak również nadweręża organ słuchu, nie mówiąc już o częstych wypadkach.

Wówczas gdy walka francuska, prowadzona wzorowo, należy do ćwiczeń stosunkowo spokojnych, w których udział biorą wszystkie członki organizmu“.

To samo mniej więcej pisze dr. George Zadig, w przedmowie do podręcznika zapasów p. t. „*Ringkampf*“. Mamy nadzieję, że ten piękny sport i u nas zyska z czasem wielu zwolenników i protektorów.

Już „Przegląd Sportowy“, w jednym z ostatnich numerów podniósł głos w sprawie przyznania prawa obywatelstwa tej zaniedbanej gałęzi sportu tuszymy nie na marne.

Tymczasem miło nam stwierdzić, że nasze miasto posiada poważnych przedstawicieli zapaśnictwa, między innymi, wśród nielicznych w osobach pp. Stacha Spyry-Płonkowskiego, słuchacza medycyny Uniw. Jagiell. i jego znakomitego „trenera“ znanego amatora-atlety, Mieczysława Tylko, których podobizny w numerze niniejszym podajemy.

Obaj zapaśnicy wystąpią w krótkim czasie w „Sokole“ krakowskim, na dzień 28. maja b. r. zapowiedziany jest również ich popis na Zlocie sokolim w Bielsko.

Katastrofa lotnicza pod Rzeszowem.

Przed trzema tygodniami odbył się staraniem redakcyi „Gońca Krakowskiego“ a za zezwoleniem Ministerstwa spraw wojskowych pierwszy lot dziennikarski z Krakowa do Lwowa. Lot ten miał na celu zainteresowanie ludności cywilnej awiatyką, którą dziś tak szeroko zajmują się sfery inżynierskie wszystkich państw, aby tą gałęź wiedzy ludzkiej wykorzystać do celów pocztowych i komunikacyjnych. Włoskim samolotem fabryki „Ansaldo“ o trzech siedzeniach polecieli z lotniska w Rakowicach koło Krakowa pilot włoski Antonio Lovadina, major obserwator polskich wojsk lotniczych Władysław Toruń i redaktor „Gońca Krakowskiego“ Leon Daniluk, który miał następnie opisać wrażenia z tej powietrznej podróży. Lot jednak nie dobiegł do zamierzonego celu, bo pomiędzy Trzcianą a Rzeszowem, gdy samolot był na wysokości ponad 1000 m. nagle motor przestał funkcyonować, wskutek czego samolot począł opadać, a przy lądowaniu nastąpiła katastrofa. Samolot przewrócił się i połamał. Stosunkowo najcięższe obrażenia poniósł redaktor Daniluk, bo doznał zgniecenia klatki piersiowej, obrażeń wewnętrznych i licznych kontuzyi. Dotkliwie potłuczonym został major Toruń, odnosząc uszkodzenie prawej części głowy, prawego obojczyka i ręki. Pilot Lovadina cudem ocalał, doznając lekkiego skaleczenia na głowie. Wszyscy trzej lotnicy dzięki troskliwym zabiegom lekarskim przychodzą powoli do zdrowia. Lot w każdym razie udał się, bo połowę drogi przebyto samolotem i co najważniejsze, że redaktor Daniluk będzie mógł dokładnie opisać w „Gońcu Krakowskim“ moment rozpoczynającej się katastrofy, gdy z tak olbrzymiej wysokości trzeba było spadać na ziemię, z której to sytuacyi zwykle nikt żywcem nie wychodzi.

Rycina nasza przedstawia właśnie ów samolot z lotnikami i gronem oficerów lotniska w Rakowicach po próbnym locie w przeddzień katastrofy.

Rewelacye z tego lotu, napisane przez redaktora Daniluka niewątpliwie zainteresują szersze kręgi publiczności naszej.

Z TEATRÓW

Mówię otwarcie, żem wyszedł po ostatniej sztuce p. Kiedrzyńskiego z teatru rozczarowany. Jego „Czysty interes“, aczkolwiek nie był fenomenem w komedyi, przecież był utworem zbudowanym zręcznie, spoiście, a pełen aktualności i szczerego humoru,



Z teatrów: P. Mikołaj Jachno, wybitny śpiewak oper. w roli Walentego („Faust“). Fot. art „Studio“.

był zjawiskiem bardzo sympatycznem i — jak obecnie — bardzo pożądanem. Inaczej ma się rzecz z „Oczyma księżniczki Fathmy“, nowością, graną obecnie w Teatrze im. J. Słowackiego. Przedewszystkiem brak tej komedyi spoistości w budowie, brak zdecydowanego stanowiska ze strony samego autora... Po wysłuchaniu całości odbiera się wrażenie, że ostatecznie sam autor nie bardzo wie, czego chce... Przedewszystkiem przez pierwsze dwa akty jesteśmy przekonani, że żona pana profesora, historyka, do tego starożytności! — jest kobietą dobrze głupią, odpowiednio zalotną, bynajmniej do stanu małżeńsko-macierzyńskiego się nie nadającą, ale bez śladu jakowychś wyższych wzlotów czy talentów, których potrzeba choćby doskonałej aktorce... Kwestya z tą panią profesorową i z jej ideałem występowania na filmie kinowym, jest tak przez pierwsze dwa akty postawiona, iż wygląda raczej na pokpiwanie sobie przez autora z owej nagminnej dziś choroby, która się szałem kinowym nazywa... Mój Boże! Któż z nas nie zna w dzisiejszem życiu i dzisiejszych stosunkach choćby dwóch pań, żon i matek (o panienkach, uczennicach, służących i t. d. nie mówimy!!), któreby nie były przynajmniej na każdej „premierze“ w kinie „Uciecha“ czy „Wanda“, czy jakiej innej „Zachęcie“. Zostawia się dom, dzieci na opatrzności Niebios i bogobojności dzisiejszej służby, a pędzi do kina... po emocye... Na teatr, na operę żal pieniędzy — na kino nigdy!! To jeden typ „kiniarek“; jest drugi, a ten — podobny do pani profesorowej Groniewskiej, — — nie tylko po kinach lata, ale chce grać „na filmie“, ufny w swą... wyrazistość rysów i... i ekscentryczność ruchów... Otóż zdawało się z początku, że p. Kiedrzyński ostrze satyry skieruje w komedyi w tę właśnie stronę... Tymczasem jego bohaterska kiniarka staje się w akcie trzecim naprawdę bohaterką, damą dystyngowaną, mądrą(?!) pewną siebie, sławą, gwiazdą filmową, z wyżyn ekranu filmowego spoglądającą na marny, szary tłum i swe dawne życie... Załamanie w sztuce wielkie... To raczej apoteoza kina i bezpłatna dla niego reklama... Mniejsza zresztą z tem! Gorzej, że postacie w rysunku zamazane, mdłe, nie plastyczne... Przebłyski jednak talentu są, a widoczne przedewszystkiem w postaci Narewicza oraz kilku scenkach dowcipnych a żywych... P. Nowakowski, nasz znajomy z lat uprzednich. obecnie „gość z Warszawy“, grał Narewicza bez szarży, z komizmem rzetelnym, niebanalnym. Doskonałą, pełną wdzięku i „wszechstronności kobiecej“ (od pazurków aż do kostyumów!) żoną profesora była p. Nosarzewska... Z kreacyą p. Malinowskiego (profesor Groniewski) stanowczo pogodzić się nie mogę. Inne postacie nie dostarczyły dla artystów pola do popisu; owszem, mam wrażenie, że były dla nich męką...

* * *

Kiedy już mowa o Teatrze im. Słowackiego — to wspomnieć przy sposobności trzeba i warto o Poranku, jaki tam urządziła Akademia Handlowa w niedzielę o godz. 11 rano ku czci Braci Rodaków z za Oceanu. Wprawdzie, jak długa i szeroka Rzeczpospolita, wszędzie szkoły wyższe, średnie i niższe tego rodzaju uroczystość urządziły; poranek jednak Akad. Handl. wysunął się w Krakowie na naczelne miejsce dzięki świetnej organizacyi, reżyseryi oraz doborowemu programowi. Zresztą w tym kierunku zakład ten ma ustaloną już opinię; na jego wieczorki spieszy publiczność tłumnie, biletów braknie w kilku godzinach.

Wspaniałem przemówieniem uczciła Rodaków za ich ofiarność i pracę p. Malcówna. W mowie rzeczowej a miłością przepełnionej przedstawiła losy i dzieje polskiej emigracyi, jej patryotyzm i poczucie łączności z Macierzą. Burzą oklasków nagrodzono deklamacye p. Jaśkowiczówny i p. Zawilińskiego. To już nie amatorzy lecz artyści! Produkcye chóru (p. Zbrożkówna), świetnej orkiestry (prof. Petelenz) oraz wyborne deklamacye zbiorowe, uzupełniły program, którego punktem kulminacyjnym był występ artysty oper. p. Mikołaja Jachny. Artysta to znakomity, śpiewak z Bożej łaski... Wystarczy wspomnieć, że on jeden obok takiego Didura potrafi pozyskać sobie w środku aktu we „Fanście“ huragan oklasków. Na „Poranku“ porwał całe audytoryum, zwłaszcza „Pieśnią rycerską“ Moniuszki i aryą Toreadora... Takich koncertów tylko więcej!!

b—i

Życie za chwilę zapomnienia.

(Do illustracyi tytułowej)

Przed niedawnym czasem znaleziono w Lasku Bulońskim obok Paryża zwłoki młodego eleganckiego mężczyzny, który, jak poszlaki kazały wnosić, popełnił samobójstwo. Dochodzenia wykazały, że był to dwudziestokilkoletni dyplomata, Gaston Harvesi, a samobójstwo było następstwem amerykańskiego pojedynku na tle tak erotycznem, iż nawet Paryż, przyzwyczajony do podobnych wydarzeń, uznał wypadek za senzacyę dnia.

W drodze do teatru spotkał Harvesi elegancką damę z towarzystwa, a oczarowany jej wdziękiem nawiązał z nią znajomość. Piękna nieznajoma zaprosiła młodzieńca do siebie i odwiozła na miejsce samochodem, zawiązawszy przedtem oczy swemu towarzyszowi i zobowiązując go słowem honoru, iż opaski nie zdejmie dopóki ona na to nie pozwoli. Znalazłszy się w wspaniale urządzonem mieszkaniu, spędził Gaston Harvesi z swą przygodną znajomością niezapomniane dla siebie chwile. Nad ranem przy zachowaniu podobnych ostrożności odstawiła piękna pani młodzieńca ku najbliższemu stanowisku dorożek automobilowych i ulokowała go w jednej z nich wymógłszy na nim zobowiązanie, że oczu przed upływem kwandransa nie odsłoni, ani szofera nie zapyta skąd wyruszył.

Spotkanie to utkwiło głęboko w sercu i pamięci Gastona, nie miał też nic lepszego do roboty, jak zwierzyć się z tem wobec jednego ze swych klubowych przyjaciół, który właśnie powrócił z kilkutygodniowej podróży za granicą. Gdy w toku rozmowy wspomniał Gaston, że szczególniej utkwił w jego pamięci wspaniały obraz, zdobiący sypialnię nieznajomej, a przedstawiający Ledę, hr. Z. zbladł,

a następnie rzuciwszy kilka jeszcze dorywczych pytań, pożegnał przyjaciela, prosząc, aby odwiedził go nazajutrz w jego mieszkaniu.

Gdy Gaston Harvesi nazajutrz stawił się pod wskazanym adresem, przekonał się ku niemałemu zdziwieniu i przerażeniu, że mieszkanie to nie jest mu obce, że tutaj właśnie bawił w ów niezapomniany wieczór. Hr. Z. obserwował pilnie swego gościa, a następnie z salonu poprowadził go ku bocznym drzwiom. Gdy je otworzył, pierwszą rzeczą, która wpadła w oczy Gastona, był obraz, przedstawiający Ledę.

— Pan tutaj był?... — zapytał hr. Z. przytłumionym głosem, a gdy Gaston potakująco skinął głową, ciągnął dalej głosem stanowczym. — Tajemnicę tę znamy tylko my obydwaj, jedynym wyjściem jest amerykański pojedynek...

W trzy dni potem znaleziono w Lasku Bulońskim zwłoki Gastona Harvesi z czaszką przestrzeloną kulą rewolwerową.

OD WYDAWNICTWA.

Skutkiem nowego, bardzo znacznego podwyższenia cen papieru i materyałów niezbędnych przy wydawnictwie pisma illustrowanego, podniesienia wynagrodzeń personalu i wzrostu innych wydatków, przy równoczesnem obniżaniu się marki polskiej, widzi się Wydawnictwo *Nowości Illustrowanych* zmuszonem do podniesienia ceny za pojedynczy egzemplarz na

120 marek

co wpłynie również na podwyższenie prenumeraty kwartalnej i rocznej, która odtąd wynosić będzie:

kwartalnie	**1462**	marek
półrocznie	**2964**	„
rocznie	**5928**	„

Podwyżka ta wchodzi w życie z dniem pierwszego czerwca, a choć na oko przedstawia się dość znacznie, jest przecież, w stosunku do innych wydawnictw, bardzo umiarkowaną. Pismo, za które przed wojną płaciło się trzy centy, kosztuje dziś trzydzieści marek, *Nowości Illustrowane* z szesnastu centów podrożały tylko na sto dwadzieścia marek, przy kalkulacyi staraliśmy się uwzględnić także i interes czyhającej Publiczności, nie reflektując na jakoweś zyski, lecz ograniczając się jedynie na pokrycie własnych wydatków.

Nie wątpimy, że P. T. Czytelnicy uzwględnią wyjątkowe położenie, w jakiem się polskie wydawnictwa znalazły i nie odmówią nam i nadal swego cennego poparcia.

NADESŁANE.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego